

Od autora: Patrząc na moją fioletową surfinię myślę o Małym Księciu. O kapryśnej Róży. O mądrym Lisie. I o zagubionym na pustyni, samotnym Lotniku. O relacjach, które się między nimi zrodziły. Bo jak już coś oswoisz, to zawsze będziesz za to odpowiedzialny... A ja czuję się odpowiedzialna ze ten śliczny kwiatek, którego wprowadzić nie przywiał mi wiatr, ale sama go sobie wybrałam. Choć może to ona wybrała sobie Mnie.

Nigdy nie byłam ogrodnikiem. Za to moja teściowa... zdecydowanie tak. Ona dbała o swój wielki ogród i kwiaty. Na tyle mocno, że ja zdążyłam się chyba do tego wszystkiego mocno zniechęcić.

- Po co ci dom - mówiła moja córka, w czasach, gdy mojej mamie śnił się nasz wspólny dom. Jej i mój. I miała w tym ta moja córka absolutną rację. Wyszła potem z tego wszystkiego wielka kłótnia. Spóźniony, nie młodzieńczy już bunt.

No i stało się... Półtorej roku po mojej przeprowadzce do nowego mieszkania, okazało się, że moja mama ma ogromnego guza na piersi (pisałam o tym więc nie będę się powtarzać. Można więc zadać sobie pytanie: co ja zrobiłabym z takim domem? Mam więc te moje 52 metry kwadratowe własnej przestrzeni życiowej i chwałę za to Boga i mamę, za to, że mi pomogła. Bez niej... Nie wiem... doprawdy nie wiem co by było...

Pandemia przyczyniła się do zagospodarowania balkonu. Myśl o urlopie (także z innych względów) wydała się na tyle nierealna, że... gdy tylko pojawiła się taka możliwość, kupiłam skrzynki, ziemię i kwiatki. I się zaczęło. Nagle okazało się, że potrafię jednak o te kwiaty zadbać. Może tylko dlatego, że są Moje i że ta "Mojość" skłania mnie do odpowiedzialności. Gdy więc tylko wczoraj zobaczyłam na mojej pięknej surfinii jakieś białe "coś", to nie patrząc na porę i brak ogólnej chęci, przebrałam się i pognałam do marketu kupić jakiś preparat na mszyce. Bo przecież muszę ochronić mój kwiat.

Jak to z nami jest? Że niby wciąż przeglądamy się w ludzkich spojrzeniach, a w ich milczeniu odgadujemy wszelką niemożność. Bo oni... I tu wpadamy w swoje zachwyty... Gdy tymczasem zatrzymuje nas strach przed wejściem w cudze kompetencje,. W granice jakiejś innej odpowiedzialności za coś, do czego sami nie czujemy się przysposobieni. I dopiero ta "mojość". Ten stan... może nie tyle posiadania, co takiej czulej odpowiedzialności za coś, co wybraliśmy i co w jakiś sposób jest od nas zależne.

Tamten dom. Tamten czas. 18 lat i ciągle poczucie wyobcowania. Nawet wtedy gdy to wszystko należało już tylko do mnie. Ta "mojość" nie wynikała jednak z jakiejś czulej troski o... nie tyle o miejsce i znajdujące się tam rzeczy, ale z pewnego stanu wyższej konieczności. Cała ta przestrzeń - razem z przestrzenią życiową - mimo wszystko zdała się należeć do niej... A ja? Byłam tylko żoną jej syna. Pewnie i potrzebną, ale...

Pozostawienie tego domu nie stanowiło dla mnie żadnego problemu. Wyprowadzając się "donikąd" skazałam siebie na tułaczkę po miejscach, które w swym ostatecznym rozrachunku zaowocowały jednak czymś pozytywnym i dobrym. Zostali mi przecież przyjaciele i znajomi. Wartość dodana, którą zawsze warto dostrzec, docenić i zaaplikować sobie jako niekwestionowany zysk. Bilansujący niepowetowane i wciąż jeszcze nieodrobione straty.

Za chwilę minie 6 lat od tamtej pamiętnej przeprowadzki z potopem w tle. Tyle lat potrzebowałam by się tu zakorzenić. I nawet włosy ostatnio mam jakieś dłuższe... To pierwsze takie miejsce od... Może nawet

od zawsze. I nawet mój rodzinny dom nie dawał mi takiej siły, spokoju i wytchnienia. Choć niewykluczone, że to we mnie coś się poprzestawiało, a reszta układa się już zgodnie z tym, co znajduje się wewnątrz mnie. I być może... żadne Feng Shui nie ma sensu, bo gdy człowiek nie zna samego siebie, to nigdy nie zbuduje swojej zewnętrznej przestrzeni zgodnie z własną prawdą.

Moja opowieść wije się jak ta rzeczka na Mazurach. Ta, do której próbowałam wejść drugi raz, a która do dziś pozostawiła na moim lewym ramieniu bolesny ślad. Może nie ma w niej nic niezwykłego. Może to nuda. Nic ważnego. A może ktoś odnajdzie w tych moich zagubionych ścieżkach własną twarz. Swoje strachy. Nadzieje. Swoją nagość lub poprzyklejane do twarzy maski, których tak bardzo boimy się pozbyć. Bo przecież "mój makijaż", to moja sprawa. Moja "mojość" i mój własny styl.

Dziś już wiem, że nie warto tracić życia na coś, co nie pokrywa się z tym, co wewnątrz nas. Nie warto tracić słów i marzeń na ciągłe spełnianie cudzych oczekiwań. Choćby nawet tym oczekującym był sam... bóg. Celowo napisany przez małe "b". Bo ten prawdziwy niczego od nas nie oczekuje. Jedyne czego pragnie, to nasze spełnienie i szczęście. Ja na ten moment upajam się widokiem mojej balkonowej surfinii. I światełek pachnących żywym ogniem Tego, Który Wie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

SylwiaJ, dodano 21.07.2020 12:21

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.